

Spotkanie premierów w Chequers.

Jeszcze w miesiącu maju miało się odbyć spotkanie Mac Donalda z Poincarem celem omówienia kwestii odszkodowań na podstawie przyjętego przez rząd ententy i Niemiec projektu Dawes'a.

Kłeska bloku narodowego i upadek Poincare'go uniemożliwił dotrzeć do skutku tej konferencji. Nastąpiła zmiana rządu we Francji. Nowy premier i zarazem minister spraw zagranicznych Edward Herriot uznał za swój pierwszy obowiązek odbycie narady z Mac Donaldem. Natychmiast po objęciu władzy udał się do Londynu w celu rozważenia wspólnie z szefem rządu Wielkiej Brytanii palcei spraw reparacji i z zamiarem ustalenia możliwie jednolitego stanowiska względem Niemiec.

Oto w jaki sposób doszło do zjazdu w Chequers, letniej rezydencji premiera angielskiego, malowniczej miejscowości w okolicach Londynu. Na konferencji poruszono sprawę odszkodowań, lecz narazie żadnych poważniejszych uchwał w tej kwestii nie powzięto. Postanowiono natomiast zwołać wielką konferencję międzysojuszniczą do Londynu. Zaproszono na nią przedstawicieli innych państw ententy i, co najważniejsze, wystosowano zaproszenie do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki.

To jest właśnie naddioniolejsza uchwała zjazdu w Chequers. Premierzy Anglii i Francji stwierdzili słusność poglądu, który od dłuższego już czasu ugruntował się w pewnych kołach opinii europejskiej. Pogład ten polega na przeświadczeniu, że uregulowanie zagadnienia odszkodowań i gospodarczej odbudowy Europy nie da się przeprowadzić bez udziału Ameryki.

Problem reparacji łączy się w jedną nierozdzielalną całość ze sprawą długów międzysojuszniczych. Niemcy są winni Francji odszkodowania. Ta sama Francja ma ogromne długi, zaciągnięte podczas wojny w Anglii, a zwłaszcza w Ameryce. Anglia, podobnie jak i inne państwa ententy, jest również dłużnikiem Stanów Zjednoczonych. Jednak najmocniej obciążona jest Francja. Sytuacja jest taka, że Francja jedna reka bierze od Niemców odszkodowania, a druga reka musi spłacać swoje długi Ameryce. Suma należnych Francji odszkodowań nieznacznie przewyższa sumę, jaką Francja jest dłużna Stanom Zjednoczonym. Pozostała nadwyżka z pewnością nie wystarczaby na koszt odbudowy zdevastowanych prowincji.

Jasnym jest, dlaczego Francja tak ostro nagli Niemców i chce ich zmusić do sumiennego uiszczania rat odszkodowaniowych.

W związku z tem lansowano swego czasu myśl o przekazaniu sprawy reparacji Stanom Zjednoczonym. Projekt ten był bardzo prosty: Ameryka miała skreślić długi francuskiej, Francja zaś miała skreślić ich równowartość z kwotw niemieckich odszkodowań. Te skreślona sume zapłaciłby Niemcy wprost Ameryce. Dwa zobowiązania zostałyby połączone w jedno. Nastąpiłoby znaczne odprężenie sytuacji, a to z tego względu, że Francja, zwolniona ze swych długów w stosunku do Ameryki, nie potrzebowałaby poradzić się z Niemcami o odszkodowania. Stany Zjednoczone jako najbogatsze i ekonomicznie najpotężniejsze państwo świata mogłyby czynić Niemcom liczne ułatwienia, udzielać im moratorium i t. d.

Plan ten, w założeniu swym bardzo trafny i dobry, nie spotkał się z przychylnym przyjęciem w Ameryce. Zachłanny kapitał amerykański nawet słysząc nie chce o podobnej kombinacji. Zdaje sobie sprawę, że Francja jest stokroć lepszym i pewniejszym dłużnikiem, niż Niemcy. Pociąg Ameryka ma się użerać z Niemcami o płacenie odszkodowań, kiedy może to uczynić Francja? Prezydent Coolidge szczerze i otwarcie, bez owijania w bawełnę, oświadczył, że Ameryka nie podaruje Europie ani jednego centa. Niech tam Europa robi, co chce, ale Stany mu-

sza otrzymać swoją całkowitą należność. Niech się kłóca, niech się biją, niech się duszą w czadzie go spodarczego kryzysu — ale niech płaca!

Bezgraniczny wprost jest egoizm kapitału amerykańskiego, który nie zadawałby się tem, że zrobił świetny biznes na krwawej rzezi narodów, lecz i teraz, po wojnie, myśli o dalszych zyskach kosztem zruinowanej Europy. To stanowisko graniczy już z cynizmem.

Problem odszkodowań spoczywa w rękach Ameryki.

Bardzo łatwo mogłaby go rozwiązać. Doprowadziłoby to w krótkim czasie do uzdrowienia stosunków europejskich.

Otóż podczas zjazdu w Chequers Herriot i Mac Donald postanowili zwrócić się do rządu Stanów Zjednoczonych z zaproszeniem na majaca się za parę tygodni odbyć konferencję sojuszniczą. Ciekawe, jaka też odpowiedź nadejdzie z za wód Atlantyku. Już teraz widać, że Herriot

i Mac Donald niebardzo jakoś liczą na zmianę frontu w Ameryce. Postanowili wyznaczyć swoich rzeczowników dla rozważenia sprawy długów międzysojuszniczych bez oczekiwania na wzięcie udziału w ośnośnych naradach przez Stany Zjednoczone.

W każdym bądź razie sytuacja musi się wyklarować. Ameryka powinna dać jasną i niedwuznaczną odpowiedź: albo poczuwa się do obowiązku gospodarczej odbudowy świata, albo umywa ręce i nadal kontynuować zamierza egoistyczna, sobkowska politykę niemieszania się do spraw europejskich. W tym drugim wypadku Europa dowiedzie, że potrafi o własnych siłach dźwignąć się z upadku i stanąć na dawnej wysokości.

Zjazd w Chequers decydująco przyczyni się do wyjaśnienia tego zagadnienia. Na tem właśnie polega całe znaczenie konferencji premierów.

R. W.

Tajemnice pałacu Elizejskiego.

Pałac miłości. — Nocne schadzki. — Tajemnicza furtka. — Mistrz ceremonji. — Jakim będzie p. Doumergue?

Eksmitowani lokatorzy.

Thiers, Mac Mahon, Grevy (dwa razy wybrany prezydentem), Kazimierz Perier, Faure, Loubet, Falliers, Poincare, Deschanel i Millerand byli jego poprzednikami. Według prawa powinni byli rezydować w pałacu Elizejskim 84 lat, to znaczy 12 razy po 7, jednak bawili oni tam wszyscy razem tylko 53 lata, albowiem tylko dwaj szczęśliwcy Loubet i Falliers dotrwali do końca okresu swego urzędowania.

Thiers, Mac Mahon, Grevy, Kazimierz Perier i obecnie Millerand zmuszeni byli abdykować przedwcześnie. Carnot padł ofiarą politycznego mordu, a Feliks Faure, który zamienił pałac Elizejski na raj miłości, zapłacił śmiercią za słodką godzinę westchnień miłosnych.

A właśnie ten pałac Elizejski był początkowo przeznaczony na gniazdko miłosne. Ludw. XV przeznaczył go na miejsce pobytu dla swoich przyjaciółek. Pierwszą mieszkanką tego pałacu, budowanego przez architekta Gabriela, była p. Pompadour.

Widownia eleganckich zabaw i scen miłosnych był pałac Elizejski również w czasie pobytu Józefiny, żony Napoleona.

Po powrocie Bourbonów, jako też w czasie panowania Ludwika Filipa, rozkoszny ten pałacyk p. de Pompadour był niezamieszkanym, tak, iż w opinii ludu paryskiego zdobył sobie nawet rozgłos jako zaczarowany zamek. Ukazała się nawet powieść p. t. „Tajemnice pałacu Elizejskiego”.

I od tego czasu Francja nie przestawała szepać o tajemnicach pałacu Elizejskiego. W czasie, gdy surowy i pedantyczny p. Thiers, były profesor historii, jako pierwszy prezydent republiki zamieszkał w tych murach, paryskie plotkarki rozpowszechniały pikantne historijki o trójkacie małżeńskim, złożonym z osiemdziesięcioletniego profesora, tegoż żony i młodej siostrzenicy.

Za rządów następcy Thiersa, marszałka Mac Mahona, który naprzód potajemnie, a później zupełnie otwarcie agitował przeciwko republikańskiej formie rządu, przysłała koleją na polityczne tajemnice: nocne schadzki monarchistycznych spiskowców w pałacu Elizejskim, o których sobie opowiadał „tout Paris”.

Najwięcej jednak tajemniczych i pikantnych historijek krążyło u schyłku XIX wieku, gdy bogaty garbarz i znany lowelas Feliks Faure, jako słodki prezydent republiki, wprowadził się do dawnego pałacu sławnej pani Pompadour. Nigdy ona tajemna

furtka ogrodowa, wiodąca z parku pałacu na Avenue Gabriel i na pola Elizejskie, nie bywała tak często w użyciu, jak owych noc, w czasie których osławiona później przez sensacyjny proces o morderstwo p. Steinhell, zakradała się do sypialni najwyższego dostojnika Francji. W tej to komnacie prezydent republiki umarł w ramionach swojej kochanki na atak serca.

— Monsieur le President vous avez commi une betise!.. (panie prezydencie, pan zrobił głupstwo) — z temi słowy rzucił się przerażony generałny sekretarz prezydenta p. Leg Graile do leżącego na sofie i rzeżącego prezydenta państwa.

Tajemna furtka, łącząca park z polami Elizejskimi, otwierała się także często w czasie krótkiej prezydentury Pawła Deschanela, Deschanel, który wkrótce miał pałac Elizejski zamienić na zakład dla nerwowo chorych, cierpiał na bezsenność. Detektywi, czuwający w dzień i w noc nad mieszkaniem prezydenta, bawili niemało zdziwieni, widząc jak „prezydent republiki w dosyć zaniedbanym stroju zjada do jednego „tinglu tanglu“ na polach Elizejskich”.

Osobny interesujący rozdział tajemnic elizejskich tworzy tak zw. le protocole, czyli urząd ceremonji.

Każdorazowy chef du protocole, czy mistrz ceremonji, zapoznaje urzędników pałacowych z tajemnicami etykiety w czasie oficjalnych przyjęć na tym republikańskim dworze.

Andre de Fouquieres, który zdobył sobie w Paryżu przydomek „arbitra elegantiarum“, Andre de Fouquieres zamierza obecnie powrócić do swego dawnego zawodu króla mody i postanowił, że ostatnim krzykiem letniej mody meskiej, ma być biała kamizelka z 6 złotymi guzikami, krawiat plastos w kolorowy deseń, oraz w tym samym tonie utrzymane „harmonijne spodnie”.

Czy radykalny Doumergue utrzyma tradycje wystawnych przyjęć w pałacu i parku Elizejskim, to przyszłość okaże.

Dotychczas jeden tylko jedyny prezydent republiki prowadził życie tak oszczędne, że nie wydawał wszystkich sum, przeznaczonych na reprezentację. Prezydentem tym był Armand Fallieres. Pani Fallieres, znana jako niesłychanie dzielna gospodyni, opuściła pałac p. de Pompadour z oszczędnościami w kieszeni. — Jak wielkie były owe oszczędności, to należy już również do tajemnic pałacu Elizejskiego.

D. 192.

Niebo jest zupełnie jasne, ale nad ziemią unosi się lekka siława mgła.

D. 192 towarzystwa Trans-Europa-Union, maszyn Junkera blyszczących od metalu limuzyna czeka na placu startowym.

Rewizja paszportów i bagaży ukończona, wsiadamy. Wnętrze kabiny pasażerskiej przypomina wnętrze auta na cztery osoby z szerokimi oknami. Wznosimy się. Z początku trochę ocieźale, jak orzeł przed lotem, ale potem coraz lżej i coraz szybciej. Motor poczynił brzęczeć, a w oczy zagała nam dziwna jasność. Ziemia ucieka, horyzont się wygina jak talerz — wznosimy się.

Kto po raz pierwszy przeżywa podobny wzlot, dla tego stać się on epoką w życiu.

Kołysamy się na skrzydłach wietrzyka, nasze aluminiowe śmigła blszczą w słońcu, szukamy wskazanych przez stacje meteorologiczne sprzyjających wiatrów i kołysamy się tak nieznacznie i słodko, że każdy z nas

musi przyznać, iż podobnego uczucia nie wyobrażał sobie nigdy! Na południu wznosi się ściana na szarych mgieł i konturów — to góry.

Wśród nich, nad lazurem nieba, blyszczą olowiana swa tafla jeziora: Starenberskie i Amnersee.

Ziemia pod nami wydaje się mapą, na której zarysowują się czworoboki pól uprawnych, maśteczka, wioski, stacje i wszystko co tam na dole żyje i porusza się.

Zarysy przedniej strażnicy Alp są matowe i płaskie. Przenaście szczyty prawie niewidoczne i zatajone w konturach.

I znów miniaturowe domeczki, koniki, ludzie — maszyn. I wreszcie, jak bogi, płyniemy w wyż i wszeście ziemskie ciężary zdają się być dla nas zupełnie obce.

Na zachodzie mgła poczynna się rozdzielać.

Szczyt Zugspitze wylania się przed nami, a za nim pojawia się drugi, trzeci, dziesiąty wierzchołek widoczny zdaleka z powodu swej śnieżnej czapy.

W głębi blyszczą weżyki rzek, a chmury ciągną się ku zachodowi, znucając lekki cień na krajobraz.

W głębi bawarskich gór widać już biały szereg wierzchołków centralnego łańcucha, z poza których wyglądają już krajobrazy błogosławionej krainy włoskiej. Płyniemy ponad Izera, patrzymy na śliczne miasteczka Szwabii, małe jeziora blyszczą, jak zwierciadła ukryte w zieleni lasów a zdaleka bieleje pierwszy zarys jeziora bodeńskiego.

Z wysokości 2000 metrów olbrzym ten wydaje się nam dosyć duża szarówka! To wszystko!

Widzimy wyraźnie, jak małe żaglowce brują jego toń, jak dymia parowce, jak hydroplan oddziela się od jego blyszczacej powierzchni — czarowny to widok zaiste.

Małe chmurki rzucają lekkie cienie na zielonawą taflę wód, a my w górze wyobrażamy sobie, że i nasz cień odbija się w zwierciadle bodeńskiego olbrzyma.

Płyniemy ponad Friedrichshafen, pozostawiamy za sobą olbrzymie zepelinowskie hangary; po dziesięciu minutach mijamy Romanshorn, szwajcarską granicę!

Z prawej strony ciągną się góry Winterthurn, a z lewej za mgłą mająca wieść St. Gallen.

— Dueblendorf — mówi pilot i wskazuje na gwałna lake, na której bieleją jakieś pasy. Tak, to już Zurych i jego hangary.

Huk motoru poczynna być głuchszy, spadamy, a ziemia wznosi się na nasze spotkanie.

W uszach, które nie mogą się tak nagle zastosować do zmiany ciśnienia, czujemy szum i głuchotę.

Dachy zdają się podzić prosto na nas, poczynamy się obawiać lądowania, gdy nagle statek nasz chwytą grunt i sunie, jak posłuszne auto.

Godzina i pięćdziesiąt dwie minut spędziłyśmy w drodze, gdy koleś zużywa na przebycie tej samej przestrzeni dziesięć godzin!

I oto jesteśmy już w innym państwie. Czas i przestrzeń są naprawdę rzeczą tylko względną.

Wsiadliśmy w Monachium i zanim zdążyliśmy się jako tako zdomowić w aeroplanie wysiadamy i spacerujemy spokojnie po Seestrasse w Zurychu.

Na powrotnej drodze siedziałem obok pilota. Przedemna, oddalony na jakie dwa metry, krążył śmigł, a ruch jego jest tak szybki, że wydaje się zupełnie nieruchome.

Huk maszyn nie pozwala na żadne rozmowy. Później wskazywał zegarowe notują wysokość, ciśnienie i szybkość.

Obserwowanie ich, to jedyna rozrywka pilota i moja.

Podróż taka jest rozkoszą człowieka pyta mimowoli:

— Dlaczego istnieje, jeszcze podziagi? Dlaczego nie płyniemy tak wszyscy w powietrzu?

H. H-r.

CO DZIEŃ NIESIE?

CZERWIEC

26

Czwartek

Dziś: Jana i Pawła
Jutro: WładysławaWschód s. o g. 5.17
Zachód s. o g. 7.59
Wschód ks. 1.01 pm.
Zachód ks. 2.06 pp.
Dług. dnia 16 g. 42 m.
Ubyło dnia 0 g. 01 m.**Biblioteka Publiczna**, ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.**Miejska galeria sztuki**, park im. Sienkiewicza (zbiorowa wystawa malarstwa, grafiki i zdobnictwa), otwarta od 10 r. do 8.**Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”**, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska:

Teatr Miejski w parku Staszcza: „Śpiewak własnej niedoli”.**Teatr letni „Scala”** w ogródku Variete.**„Casino”**: „Taniec złota i nędzy”.**„Luna”**: „U progu gilotyny”.**„Odeon”**: „Karuzela życia”.**„Grand-Kino”**: „Zakazane miasto”.**Kino spółdziel. pracown. państwowych**: „Umierające narody”.

I seria p. t. „Iskra Nienawiści”.

„Nowości”: „Ognista akrobatka”.

Srebrne monety.

Banknoty jedno i dwu złotych — jak wiadomo — biletami zdawkowymi, wypuszczonymi przez skarbnik państwa tymczasowo w zastępstwie biletów na równi z biletami zdawkowymi mniejszej wartości.

Różnica między biletami jedno i dwu złotych a jedno i wielogroszowymi polega w myśl nowego projektu rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej na tem, iż bilety zdawkowe jedno i dwu złotych stanowią środek płatniczy, mający moc umarzenia zobowiązań do kwoty 100 złotych przy każdej wypłacie, bilet zaś zdawkowy niższej wartości — do kwoty 10 złotych.

Od dnia 1 listopada r. b. skarbnik państwa przystąpi do wymiany biletów zdawkowych poniżej jednego złotego na monety zdawkowe, względnie bilety banku polskiego i dokonując będzie tej wymiany do dnia 31 stycznia 1925 roku.

1-go stycznia 1925 roku skarbnik państwa zacznie wymieniać bilety zdawkowe jedno i dwu złotych na monety srebrne. Warunki wymiany biletów zdawkowych ustali w odpowiednim czasie specjalne rozporządzenie ministra skarbu.

WYCIECZKA DO PIOTRKOWA I SULEJOWA.

Towarzystwo krajoznawcze organizuje dla swych członków i wprowadzonych gości wycieczkę do Piotrkowa i Sulejowa. Wyjazd w sobotę, dnia 28 b. m., o godz. 3-ej po południu, powrót w niedzielę wieczorem. Zapis w lokalu towarzystwa Al. Kościuszki 17 w piątek od godz. 8 do 9 i pół wieczorem.

WIECZÓR DYSKUSYJNY TOW. MEDYCYNY SPOŁECZNEJ.

Dziś w czwartek odbędzie się o godz. 8.30 wiecz. w lokalu kasy chorvch ul. Piotrkowska 17 wieczór dyskusyjny tow. medycyny społecznej na temat „W sprawie nowelizacji ustawy o kasach chorych”. Referuje dr. Kluszyński.

CHŁOP JAK DĄB.

Genowefa Wojciechowska, lat 21 (Piotrkowska 182), z płaczem wyznaję w komisariacie policji, że znany jej jako lokator tego samego domu, Józef Dąb, przemocą wciągnął ją do swego mieszkania i dopuścił się na niej gwałtu.

Zabawa w samorząd.

Wczoraj skończono obrady nad budżetem miasta na rok 1924. — Trzeba przyznać, że ze strony rady miejskiej czyniono wszystko, by budżet najpierw opracować, a potem uchwalić. Czyniono nawet więcej, niż rada czynić powinna, bo w całym tego słowa znaczeniu forsowano budżet, tłumiono wszelkimi sposobami opozycję, by nie przewlekać obrad i nie dopuścić do ich zerwania i wreszcie wczoraj cel został osiągnięty i budżet uchwalony.

Nie wdając się w analizę budżetu i sposobu, w jaki został prze-forsowany, stwierdzić trzeba, że dokonano bardzo poważnej pracy i zrobiono pierwszy krok ku uzdrowieniu administracji miasta, granicząc dotychczasową niekontrolowaną samowolę magistratu postanowieniami budżetu i umożliwiając na przyszłość radzie miejskiej wpływ na tok gospodarki finansowej.

Obserwując tok obrad budżetowych, nie można oprzeć się wrażeniu, że budżet właściwie tylko jedna strona traktowała poważnie, mianowicie rada miejska. Zarówno forsowanie wysiłki większości, jak i taktyka grup opozycyjnych świadczy, że sprawa budżetu na forum rady oc-

niona była z należytą powagą i świadomością. Zrozumienia tego natomiast nie było po drugiej stronie — po stronie magistratu.

Magistrat, wnosząc chaotyczny, nieopracowany i nieprzemysłowy projekt budżetu spełniał jedną z mniej ważnych formalności kancelaryjnych. Załatwił po prostu jeden z „kawałków” magistrackich, nie przywiązując doń większej wagi, niż do każdego drobnego wniosku, czy komunikatu, przekazywanego radzie. — Inaczej bowiem, trudno usprawiedliwić niesłychanie niedbałe opracowanie projektu budżetu, pozostawienie w nim pięciomilionowego deficytu, bez słowa wyjaśnienia i bez projektu pokrycia. Również w toku obrad, najmniejszego zainteresowania sprawą wykazywali członkowie magistratu z przyswójnym na czele. Prezydent miasta przeważnie świecił nieobecnością, co w stosunkach parlamentarnych oznacza niebywałe lekceważenie zarówno dla przedmiotu obrad, jak i dla obradujących, podobnie radni. Nawet w czasie dyskusji nad budżetem niektórych wydziałów, radni ich nie byli na posiedzeniu: wyjaśnienia udzielać musiał zastępca członka magistratu, który

naturalnie nie mógł odpowiadać na interpelacje i zarzuty szczegółowe.

Taka taktyka magistratu wobec budżetu każe wnosić, że budżet po uchwaleniu pójdzie ad acta a magistrat nadal gospodarować będzie po swojemu, niewiele interesując się uchwalonymi przez radę pozycjami.

Z dotychczasowej praktyki i układu sił w magistracie wemyślano, że w końcu rada zawsze przymie każde usprawiedliwienie się magistratu do wiadomości, i chociażby nawet uchwalony obecnie budżet został w praktyce przez magistrat do niepoznania przekształcony, rada bez większego hałasu przejdzie nad tem do porządku dziennego.

Typowa zabawa w samorząd. Jak długo trwa sa tacy, którzy przejmują się nią i biorą ją na serio, gdy się skończy, wszyscy o niej zapominają. Wysiłki rady miejskiej i poważna praca, jakiej dokonała w ciągu kilku ostatnich tygodni, świadczy, że rada przejęła się swą rolą w zabawie budżetowej, ale nie dowodzą bynajmniej, by miała brać ją na serio. Magistrat, jako partner nie zdołał się nawet na tyle taktu, by udać zainteresowanie.

Magistrat z całą świadomością nabrał obywateli.

Przez kilka miesięcy magistrat łódzki, wiedząc o tem, że władze centralne zniosły prawo pobierania przez samorząd łódzki 15 pr. podatku od elektryczności, spokojnie patrzył na to, że elekrownia w dalszym ciągu nieprawie podatek ten od konsumentów energii elektrycznej ściaga i wpłaca do kasy miejskiej. W ten sposób magistrat uzyskał kilkaset milionów marek nielegalnego wpływu, pobierał samowolnie daninę od ludności miasta i to w takiej wysokości, w jakiej nie pozwoliłaby pobrać jej żadna ustawa sejmowa.

Gdy sprawa się wydała, magistrat popełnił niesłychany — powiedzmy — nietakt, oświadczając publicznie w radzie miejskiej, przez usta niekompetentnego w tej sprawie swego członka, że wiadomo mu o zniesieniu tego podatku i że elekrownia, jeśli go w dalszym ciągu pobiera, to czyni to nieprawie, do kasy miejskiej jednak wpływów z niego nie przekazuje.

W kilka dni później władze elektryczne opublikowały w swym

gmachu oświadczenie, że podatek pobierany był tylko dlatego, że magistrat nie zawiadomił elekrowni o obowiązku zaprzestania pobierania i że wszelkie ściąganie od abonentów z tego tytułu sumy znajdują się w kasie miejskiej, do której były regularnie wpłacane. W dalszym ciągu elekrownia podatku tego nie pobiera i aczkolwiek figuruje on jeszcze na ostatnich rachunkach, jest przez inkasentów elekrowni odliczany.

W świetle tego wyjaśnienia, co najmniej dziwnie wygląda postępowanie magistratu w tej sprawie i jego pierwotne oświadczenie, które dotychczas nie zostało sprostowane, ani też nie zostało podane do publicznej wiadomości, w jaki sposób magistrat zamierza na prawicę szkody wyrządzone obywatelom miasta.

Gdyby tu chodziło tylko o pomysłkę i przeoczenie, magistrat z pewnością byłby się do niej przyznał i dziury w niebie by nie było.

Jeszcze jedno niedbalstwo więcej w Łodzi większego wrażenia nie zrobiłoby, ludność nawet gotowa byłaby czekać na zwrot po-

branych nieprawie sum. Ponieważ jednak magistrat milczy, trzeba przypuszczać, że działał w tej sprawie świadomie i w chęci osiągnięcia nielegalnych wpływów, mając nadzieję, że sprawa przejdzie bez zwrócenia na siebie uwagi.

Za tem przemawia również fakt, że magistrat konsekwentnie uchyla się od udzielenia odpowiedzi na odnośną interpelację w radzie miejskiej i czyni starania, by sprawa ta spadła z porządku dziennego, o ile się na nim znajdzie.

Jak się dowiadujemy, wnioskodawcy zamierzają dzisiaj kategorycznie domagać się odpowiedzi magistratu, a jeśli jej nie będzie za mierzaia w własnym imieniu, wystąpić na drogę sądową i wytoczyć magistratowi sprawę o odszkodowanie. W ten sposób prawdopodobnie postąpią również i niektóre firmy handlowe i przemysłowe, które z tytułu tego podatku wpłaciły, dziesiątki miliardów marek, a dzisiaj zagrożone są egzekucjami z tytułu niezapłaconych drobnych podatków samorządowych.

Jak się kupuje ubranie na raty?

Bracia Goldstein przy ulicy Zgierskiej sprzedają na raty modne ubrania męskie i damskie, to też codziennie od samego rana w firmie tej jest dużo kupujących i wybie rajacych.

W pierwszych dniach kwietnia Feliks Kaczmarek, świeżo zredukowany aresztant, zachęcony sztydem, wsiadł nad drzwiami magazynu, który obwieszczał publiczność, że tu można kupić tanio i, na bardzo dogodnych warunkach najrozmaitsza garderobe na raty, wszedł do sklepu z zamiarem „zrobienia interesu”.

Po długim wahaniu wybrał jeden z garniturów i udał się z nim do specjalnej ubieralni, oddzielonej od magazynu parawanem.

Po przebraniu się, pomysłowy Felus, postanowił ułotnić się z magazynu, zabierając włożone na siebie nowe ubranie. Na pamięćkę wizyty, pozostawił stare u-

branie na krześle, oraz kartkę do właściciela, w której przeproszał za niewpłacenie pierwszej raty z powodu stagnacji w interesie i niezauważony przez nikogo, wszedł pospiesznie z magazynu.

Właściciel i sprzedawcy w tym czasie byli zajęci liczną klijentelą i nie zauważyli reiterady „klienta”.

Po pewnym czasie, do właściciela podszedł chłopiec, pracujący w składzie i zakomunikował mu, że jakiś pan już dość długo siedzi w przebraniu, prawdopodobnie tam zemdał. Współwłaściciel magazynu natychmiast udał się z chłopcem do przebralni, gdzie zamiast nieprzbranego klienta zobaczył stare ubranie, leżące na krześle.

Po przeczytaniu kartki, omal sam nie zemdał. Oprzytomniałszy i wyliczwszy, że skradzione ubranie przedstawia wartość 250 milionów, udał się Goldstein do komisariatu na skargę.

Traf rzadził, że po upływie

kilku dni, Goldstein zobaczył swego „klienta” na ulicy Nowomiejskiej, spacerującego w skradzionym garniturze. Goldstein do szedł do złodzieja, żądając natychmiastowego oddania skradzionego ubrania, na co zaskoczony złodziej się zgodził.

Goldstein udał się przeto z „klientem” do pobliskiej bramy, gdzie ten zdjął ubranie i oddał je prawemu właścicielowi.

Kupiec jednak nie zadowolony się pomysłnym przebiegiem rewindykacji swej własności. Chciał jeszcze, by przestępstwo znalazło karę i w tym celu zaproponował posterunkowemu aresztowanie złodzieja.

Znaleźli go w tej samej bramie spacerującego w białźnie.

Ostatni raz włożył jeszcze na siebie ubranie kupione bez raty i powędrował do komisariatu, gdzie otwarcie przyznał się do wszystkiego.

W sadyz pokoju dowcipny Kaczmarek skazany został na 3 miesiące uła.

Wyścig tramwaju z samochodem.

(p) We wtorek na ulicy Piotrkowskiej między ulicami Dzielna a Cegielińska szofer Marchiak, prowadzący samochód ciężarowy nr. 102, należący do magistratu łódzkiego, i maszynista,

prowadzący wagon tramwajowy nr. 322, urządzili sobie małe wyścigi, które skończyły się uszkodzeniem wagonu tramwajowego. Maszynista tramwaju, chcąc się usprawiedliwić, —

zostałby pociągnięty do odpowiedzialności przez swoje władze, wystąpił na drogę sądową przeciwko szoferowi, się z nim szoferowi.

FELJETONIK SĄDOWY.

ROZMAITE KOLEJE PRZECHODZĄ NEJ GARDEROBY.

— Nu, panie dyrektor, jak tam będzie z nami?

— 75 milionów. Ostatnia cena.

— Jak w maju będzie karnawał. Dalej 30...

Nie zavracać pan głowy. Ani groza niż siedemdziesięciu.

— Żeby się pan ożenił. Powiem panu wiadomość: to mi pan odda za połowę ceny.

— ?...

— Córka d-ra Cz. wychodzi za Stasia T...

— Stara historia. Ostatecznie 60.

— Panie, mnie samego drożej kosztuje. Nu, niech tam będzie. Przyjdzie do pana w obiadową porę, to się zrobi...

W taki sposób załatwia na ulicy swe starobraniove interesy pan Abram Mołżesz Plamiak i S-ka.

Inaczej zupełnie jego kolega po fachu Stefan Starczyński.

W przeciwieństwie do Plamiaka, który zawiera swoje handlowe znajomości tylko z przedstawicielami średnich i wyższych warstw społeczeństwa, pan S. obracał się jedynie wśród różnego rodzaju złodziejaszków, sprzedających swe ciężko „zapracowane” rzeczy na rynkach staromiejskich.

Tranzakcje Starczyńskiego były nader korzystne.

Nie musiał on swych sprzedawców tytułować „dyrektorami”, ani opowiadać im dyktaryjek — kupno przeprowadzane w tonie poważnym.

— Jaki macie dziś towar?

— Jedno sportowane ubranie, palta i lakierki. Razem 50 milionów.

Następują dokładne oględziny ofiarowanych rzeczy i, po przyjacielskim uderzeniu ręk na znak zakończonego interesu, zadowolone ze siebie strony rozchodzą się...

Lecz wszystko na świecie ma swój koniec.

Nadszedł też kres zyskownego przedsiębiorstwa pana Stefana.

Podczas obławy policyjnej, został on schwytany na gorącym uczynku handlu kradzionymi rzeczami i na rozprawie sądowej skazany na 4 miesiące więzienia. Seg.

ZAMIAST FELJETONU.

MAŻ IDEALNY.

Dzienniki angielskie doniosły mniej więcej miesiąc temu, że w hrabstwie Walji umarł niedawno pewien człowiek, który był co się zowie idealnym mężem. Dziwny ten człowiek od ślubu, czyli od lat 41, nie spędził ani jednej nocy poza domem, a taki tryb życia meżów — przysławny to że skrucha — należy naprawdę do rzeczy niezmienne rzadkich, na szczęście rzadkich.

Dlaczego na szczęście? Wyobraźmy sobie, jakiby to kryzys wywołało w przemyśle dostarczania rozrywek, gdyby każdy mąż chciał ten tryb życia naśladować. Coby zrobili restauracje, kabarety, teatry noce, no i niezliczone zakłady, które są właściwie zakażane przez policję, ale istnieją mimo to, tylko publiczność za korzystanie z nich płacić musi wysoka takse, jak płaci zresztą restauratorom za prawo spożywania alkoholu nie z kieliszków, lecz z wypieszczonych brudnymi rękami kelnerów szklaneczek. Całe tylko szczęście, że taksa ta (co do restauracji jedynie, nie co o „innych” zakładów) obowiązuje tylko w niedziele, święta i dni imprezujące.

Ow wzorowy mąż wyglądał zupełnie normalnie, palil fajkę, pił whisky z soda, a jedyną podejrzaną rzeczą było w nim to, że utrzymywał, iż najlepiej czuje się u siebie w domu. Rozważając te jego sentencje, pisma dochodziły do wniosku, iż takie donatorstwo zawdzięczał nieboszczyk temu, iż żona potrafiła go przykuć do siebie (nie bierzcie tego zbyt dosłownie, moje panie, opuszczane często przez mężów). Że jednak w każdym kraju są zazdrośnicy, więc i w tej sprawie zaczęto wyliczać, że 41 rok — to jednak prawie 15 tysięcy nocy: gdyby też zmarły choć częściej tych nocy spędził wzo-rem weselszych, nieco swych przodków, byłby może wcześniej legł w grobie, ale wiedziałby przy najmniej, że żył. (Tu dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, nroczyciele oświadczam, że opinia ta nie odemnie pochodzi).

